Laura Bellini

Bez instrukcji *powrotu*

Żeby zostać razem, muszą przestać planować za siebie



Bez instrukcji powrotu

Żeby zostać razem, muszą przestać planować za siebie

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384900857

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Warunki, których nie było w planie 11
Rozdział 2 - Odległość między dwoma krzesłami 21
Rozdział 3 - To, czego nie widać na rysunku 31
Rozdział 4 - Miejsca, do których się wraca 42
Rozdział 5 - Prawo do odmowy 56
Rozdział 6 - Zanim zgaśnie światło 67
Rozdział 7 - Po drugiej stronie pocałunku 77
Rozdział 8 - Światło w cudzych oknach 89
Rozdział 9 - Ryzyko zapisane drobnym drukiem 101
Rozdział 10 - Bez planu na jutro 110
Rozdział 11 - To, czego nie powiedzieliśmy rano 121
Rozdział 12 - Cena niedopowiedzeń 132
Rozdział 13 - Nie wszystko można ocalić 143
Rozdział 14 - Prawda, która nie mieści się w kalendarzu 154
Rozdział 15 - Wszystko, czego nie powiedziałam 165
Rozdział 16 - Cisza między nami 175
Rozdział 17 - Rzeczy, które zostają 185
Rozdział 18 - Dwa miejsca w kalendarzu 195
Rozdział 19 - Miejsce na dwie przyszłości 205
Rozdział 20 - Bez instrukcji powrotu 216

INTRO

Pierwszą rzeczą, którą zrobiłam po wejściu do starego magazynu, było ustawienie na podłodze niebieskiej taśmy malarskiej. Drugą — przesunięcie jej o siedemnaście centymetrów, ponieważ światło padało inaczej, niż przewidywałam.

Była ósma rano, za oknami łódzkiego magazynu wisiał listopadowy deszcz, a ja miałam dokładnie czterdzieści osiem godzin, żeby przekonać sześcioro rzemieślników, że zbudowanie wspólnej pracowni nie jest najgorszym pomysłem ich zawodowego życia.

Na ekranie tabletu wyglądało to znakomicie. Sześć stanowisk, otwarta przestrzeń warsztatowa, niewielka galeria przy wejściu i wspólny stół, przy którym można było rozmawiać, kłócić się o projekty albo po prostu wypić kawę. Miałam nawet wybrany odcień ścian. Ciepłą biel z odrobiną szarości, taką, która nie odbierała charakteru starym cegłom.

W rzeczywistości magazyn pachniał wilgotnym drewnem, kurzem i czymś metalicznym, czego nie potrafiłam zidentyfikować. Jedna z wysokich szyb była pęknięta, kaloryfer pod północną ścianą nie działał, a z sufitu zwisał przewód zakończony kostką elektryczną.

Mimo to czułam znajome podniecenie.

Uwielbiałam miejsca, które inni skreślali. Puste hale, zapomniane witryny, lokale po sklepach, których szyldy dawno zniknęły. Jako projektantka wystaw nauczyłam się dostrzegać przyszłość tam, gdzie większość ludzi widziała wyłącznie koszty remontu.

Tym razem przyszłość miała być również moja.

Po latach zleceń realizowanych dla cudzych galerii i instytucji chciałam stworzyć miejsce, do którego będę wracała nie dlatego, że podpisano kolejną umowę, ale dlatego, że sama wybrałam ten adres.

Rozwinęłam plan na prowizorycznym stole i docisnęłam jego rogi czterema kawałkami cegły. Właśnie zaznaczałam miejsce ekspozycji ceramiki, kiedy usłyszałam za plecami męski głos.

— Jeśli postawi pani tam regał, za pół roku będzie pani zdejmowała go razem z tynkiem.

Nie odwróciłam się od razu.

— Dzień dobry również panu.

— Dzień dobry. Ściana jest zawilgocona.

Podniosłam wzrok znad planu. W drzwiach stał mężczyzna w ciemnej kurtce roboczej, z drewnianą skrzynką narzędziową w jednej ręce i papierowym kubkiem kawy w drugiej. Miał krótkie, lekko potargane włosy, kilkudniowy zarost i twarz człowieka, który nie zamierzał przepraszać za wygłaszanie nieproszonych opinii.

— Wiem — odpowiedziałam. — Dlatego regał będzie odsunięty od ściany.

— O ile?

— Dwanaście centymetrów.

Przyjrzał mi się uważniej.

— Potrzeba co najmniej dwudziestu, zanim ustalimy, skąd bierze się wilgoć.

— Jest pan inspektorem budowlanym?

— Stolarzem.

— W takim razie bardzo się cieszę, że mamy już wstępną opinię stolarską.

Kącik jego ust drgnął. Nie na tyle, żeby można było nazwać to uśmiechem, ale wystarczająco, bym nabrała podejrzenia, że doskonale rozumiał mój ton.

Postawił skrzynkę na podłodze.

— Jan Brzozowski. Mam tutaj urządzić stanowisko stolarskie. I podobno pomóc przy zabudowie pozostałych.

— Kamila Żur. Projektuję całą przestrzeń.

— Zauważyłem.

Spojrzał na taśmę rozciągniętą między kolumnami, potem na tablet i starannie rozłożone próbki materiałów.

— Widzę też, że wszystko ma już swoje miejsce.

— Taki jest sens projektu.

— Czasem warto najpierw zapytać miejsce, na co pozwoli.

Nie lubiłam ludzi, którzy mylili doświadczenie z prawem do decydowania za innych. Jeszcze mniej lubiłam tych, którzy potrafili jednym zdaniem podważyć kilka godzin mojej pracy.

A jednak, zamiast go zignorować, zapytałam:

— To czego pańskim zdaniem chce ten magazyn?

Jan odstawił kubek i przeszedł w stronę wielkiego okna. Przykucnął przy starej drewnianej belce, dotknął jej powierzchni, a potem spojrzał na światło wpadające przez zabrudzoną szybę.

— Żeby nie traktować go jak pustego pudełka.

Odpowiedź była irytująco dobra.

Znałam ten rodzaj uwagi. Nie chodziło o imponowanie fachową wiedzą ani o wygrywanie rozmowy. Mówił o drewnie tak, jak ja myślałam o przestrzeni: jak o czymś, co ma własną historię, ograniczenia i możliwości.

Przez chwilę patrzyłam, jak przesuwa dłonią po belce, zatrzymując palce przy starym łączeniu. Miał szerokie dłonie z drobnymi śladami codziennej pracy, ale wykonywał ten gest z zaskakującą delikatnością.

— Belka zostaje — powiedziałam.

— Dobrze.

— Zaplanowałam wokół niej oświetlenie.

— Jeszcze lepiej.

— A regał będzie odsunięty o dwadzieścia centymetrów, jeśli potwierdzimy źródło wilgoci.

Tym razem uśmiechnął się naprawdę.

— Potrafi pani zmieniać zdanie.

— Proszę się nie przyzwyczajać.

Zaśmiał się cicho, a ja poczułam nieoczekiwaną satysfakcję. Nie dlatego, że zdobyłam jego aprobatę. Raczej dlatego, że po raz pierwszy od wielu tygodni ktoś potraktował mój projekt jak początek rozmowy, a nie gotowy produkt, który należy bezmyślnie zaakceptować.

Telefon zawibrował mi w kieszeni.

Spojrzałam na ekran i natychmiast pożałowałam.

Wiadomość od Magdy Rosińskiej, producentki wystaw, z którą współpracowałam kilka lat wcześniej.

Kamila, wraca temat Kopenhagi. Tym razem naprawdę mamy budżet. Potrzebuję twojej odpowiedzi przed piątkiem.

Trzy miesiące, możliwość przedłużenia. Zadzwonię wieczorem.

Przeczytałam wiadomość dwukrotnie.

Kopenhaga.

Nie pierwszy raz ktoś proponował mi wyjazd. Nie pierwszy raz wyobrażałam sobie obce miasto, pracę w dużym międzynarodowym zespole i wystawę, którą mogłabym dopisać do portfolio bez najmniejszego wahania.

Tyle że tym razem stałam w magazynie, który miał stać się moim pierwszym naprawdę własnym przedsięwzięciem.

Schowałam telefon, zanim Jan mógł zobaczyć ekran.

— Coś nie tak? — zapytał.

— Nie. Sprawy zawodowe.

— To zwykle oznacza, że coś jednak jest nie tak.

— Albo że ktoś ma więcej niż jeden projekt.

— To akurat rozumiem.

Nie dopytywał. Ta drobna powściągliwość zaskoczyła mnie bardziej niż jego wcześniejsza bezpośredniość. Byłam przyzwyczajona do ludzi, którzy z ciekawości robili sobie prawo do informacji, a z zainteresowania — usprawiedliwienie dla kolejnych pytań.

Jan po prostu wrócił do oglądania belki.

Przez następne kilkanaście minut sprawdzaliśmy wymiary. On mierzył, ja nanosiłam poprawki. Nie zgadzaliśmy się co do ustawienia dwóch stanowisk, szerokości przejścia i miejsca na cięższe maszyny. Nie próbował mnie przekrzyczeć. Za każdym razem podawał konkretny powód, a kiedy mój argument okazywał się lepszy, przyjmował go bez obrażonej dumy.

To było bardziej pociągające, niż chciałam przyznać.

Przy zachodniej ścianie musieliśmy przesunąć wielką drewnianą płytę. Chwyciłam jeden koniec, zanim zdążył zaproponować pomoc.

— Jest ciężka — uprzedził.

— Zauważyłam.

— Nie sugerowałem, że sobie pani nie poradzi.

— A ja nie sugerowałam, że potrzebuję ratunku.

Spojrzał na mnie ponad krawędzią płyty.

— To dobrze. Możemy po prostu przenieść ją razem.

Kiedy postawiliśmy drewno pod ścianą, znaleźliśmy się bliżej siebie, niż wymagała tego sytuacja. Poczułam zapach jego kurtki, świeżo zaparzonej kawy i drewna. Nie odsunął się gwałtownie ani nie wykorzystał bliskości, żeby wykonać jakiś dwuznaczny gest.

Patrzył na mnie spokojnie, jakby czekał, aż sama zdecyduję, czy chcę zakończyć tę krótką chwilę.

Odsunęłam się pierwsza.

— Muszę jeszcze sprawdzić zaplecze — powiedziałam.

— Tam jest zimniej niż tutaj.

— To niezbyt zachęcające.

— Mogę pokazać pani, gdzie przecieka dach.

— Czy pan zawsze tak skutecznie psuje ludziom nastrój?

— Tylko kiedy zależy mi, żeby coś dobrze zbudowali.

Ruszył w stronę zaplecza, zostawiając mi możliwość pójścia za nim. Przez chwilę obserwowałam jego plecy, pewny krok i sposób, w jaki omijał nierówności podłogi, jakby znał je od lat.

Potem spojrzałam na telefon.

Wiadomość z Kopenhagi wciąż czekała na odpowiedź.

Mogłam zostać w Łodzi i zbudować coś trwałego. Mogłam wyjechać, zanim cokolwiek zdąży mnie zatrzymać. Obie możliwości należały do mnie i właśnie dlatego żadna nie była prosta.

— Kamila? — zawołał Jan z głębi magazynu. — Idzie pani?

Po raz pierwszy wypowiedział moje imię bez oficjalnego dystansu. Zabrzmiało naturalnie, jakby nie potrzebował zgody na zmianę tonu, a jednocześnie nie zakładał, że daje mu to jakiekolwiek inne prawo.

— Już idę.

Schowałam telefon i ruszyłam za nim.

W przejściu zatrzymałam się jednak na moment. Jan stał kilka kroków dalej, pod jedyną działającą lampą. Kiedy odwrócił głowę, nasze spojrzenia spotkały się w półmroku.

Pomyślałam wtedy, że niebezpieczne wcale nie muszą być wielkie obietnice ani ludzie, którzy próbują zmieniać nasze życie.

Czasem wystarczy ktoś, kto po prostu robi miejsce obok siebie.

A ja, stojąc z planem całej pracowni w dłoni, nie potrafiłam odpowiedzieć sobie na jedno pytanie: czy umiałabym kiedyś zrobić dla niego miejsce we własnym życiu, nie rezygnując przy tym z siebie?

Rozdział 1 - Warunki, których nie było w planie

Następnego ranka przyszłam do magazynu z trzema wydrukowanymi wersjami projektu, termosową kawą i postanowieniem, że nie pozwolę Janowi Brzozowskiemu wyprowadzić mnie z równowagi.

O dziewiątej trzydzieści miałam przedstawić koncepcję wszystkim przyszłym użytkownikom pracowni. Dzień wcześniej poprawiłam układ stanowisk, uwzględniając kilka jego uwag, ale nie zamierzałam oddawać mu kierownictwa nad przedsięwzięciem tylko dlatego, że potrafił przekonująco mówić o drewnie.

Na pierwszy rzut oka magazyn wyglądał dokładnie tak samo jak poprzedniego dnia. Dopiero kiedy podeszłam do stołu, zobaczyłam, że ktoś ustawił przy nim sześć różnych krzeseł. Jedno było z jasnego drewna, dwa metalowe, pozostałe pamiętały zapewne czasy, gdy w budynku przechowywano tkaniny. Na każdym leżała kartka z imieniem przyszłego użytkownika.

Przy moim miejscu stał kubek z napisem „Projektantka ma zawsze rację".

— To prowokacja? — zapytałam, gdy Jan wyszedł zza regału.

— Raczej próba poprawienia atmosfery przed zebraniem.

Miał na sobie ciemny sweter, którego rękawy podwinął do łokci. Wyglądał mniej surowo niż poprzedniego dnia, choć sposób, w jaki spojrzał na moje wydruki, zapowiadał kolejną dyskusję.

— Skąd pan wiedział, gdzie usiądę?

— Wybrałem miejsce z najlepszym widokiem na wszystkich. Uznałem, że pani też by je wybrała.

— A jeśli chciałabym usiąść gdzie indziej?

— To przesunie pani kartkę.

Podniosłam kubek i odkryłam, że był pusty.

— Przynajmniej kawy pan za mnie nie wybrał.

— Nie znam jeszcze pani upodobań.

Słowo „jeszcze" zawisło między nami zaskakująco wyraźnie. Odstawiłam kubek, udając zainteresowanie dokumentami. Jan nie zrobił nic, żeby wykorzystać moje chwilowe zakłopotanie.

Pierwsza przyszła Zofia, ceramiczka po pięćdziesiątce, która od lat prowadziła niewielką pracownię na Bałutach. Za nią pojawili się Natalia, zajmująca się tkaniną artystyczną, introligator Michał, jubilerka Lena i Paweł, odnawiający stare lampy. Jan był szóstym rzemieślnikiem. Wszyscy mieli różne potrzeby i równie silne przekonanie, że to właśnie ich praca wymaga najlepszych warunków.

Przedstawiłam projekt na ekranie ustawionym przy wejściu. Opowiedziałam o wspólnej galerii, warsztatach otwartych dla mieszkańców i przestrzeni, która miała łączyć produkcję z prezentacją gotowych przedmiotów. Początkowo rozmowa przebiegała zgodnie z planem. Natalia zachwyciła się światłem przy południowym oknie, Michał zapytał o zamykane szafy, a Lena chciała wiedzieć, czy będzie mogła przyjmować klientów bez przechodzenia przez część warsztatową.

Wszystkie te pytania przewidziałam.

Nie przewidziałam natomiast tego, co Jan powiedział, kiedy przeszliśmy do harmonogramu.

— Nie mogę zaakceptować terminu otwarcia, dopóki nie ustalimy, kto odpowiada za przygotowanie instalacji i odbiór techniczny stanowisk.

Na ekranie widniała data planowanego otwarcia: dwudziesty trzeci stycznia.

— Harmonogram zawiera rezerwę — odpowiedziałam.

— Dziesięć dni.

— Dwanaście, jeśli dostawca zabudowy dotrzyma terminów.

— A jeśli nie dotrzyma?

— Wtedy dokonamy korekty.

Jan oparł dłonie na stole.

— Właśnie dlatego potrzebujemy zasad, zanim zaczniemy cokolwiek budować.

Zofia odłożyła długopis.

— Jan ma rację. Ja muszę wypowiedzieć obecny najem z odpowiednim wyprzedzeniem. Nie mogę przenieść pieca do miejsca, w którym później okaże się, że instalacja nie jest gotowa.

Poczułam, jak moja starannie przygotowana prezentacja traci grunt pod nogami.

— Nie proponuję nikomu przeprowadzki do niedokończonego lokalu — wyjaśniłam. — Termin jest celem organizacyjnym, nie nakazem.

— W takim razie zapiszmy, co musi się wydarzyć, żeby ten cel był realny — powiedział Jan.

Nie podniósł głosu. Nie próbował mnie ośmieszyć. Mimo to miałam ochotę przypomnieć mu, że to ja spędziłam ostatnie cztery miesiące na rozmowach z właścicielem

budynku, przygotowywaniu koncepcji i szukaniu środków na adaptację.

— Możemy omówić to po prezentacji — zaproponowałam.

— Możemy. Ale wszyscy powinni wiedzieć, na co się umawiają.

Michał przytaknął. Natalia spojrzała na mnie z przepraszającym uśmiechem. Wiedziałam, że jeśli teraz uparcie wrócę do slajdów, stracę coś ważniejszego niż kontrolę nad zebraniem.

Wyłączyłam projektor.

— Dobrze. Porozmawiajmy o warunkach.

Przez następną godzinę zbieraliśmy wymagania, które wcześniej traktowałam jako szczegóły wykonawcze. Potrzebowaliśmy osobnych odbiorów elektrycznych, ustalenia odpowiedzialności za wentylację, zasad dostępu do magazynu i pisemnego potwierdzenia, które urządzenia można uruchamiać przed zakończeniem remontu. Zosia nie mogła zrezygnować z dotychczasowej pracowni zbyt wcześnie. Paweł potrzebował czasu na przeniesienie ciężkiego sprzętu. Lena mogła rozpocząć działalność przy stole jubilerskim, zanim powstanie wspólna galeria.

Słuchałam, robiłam notatki i stopniowo odkrywałam, że mój projekt wcale się nie rozpada. Zmieniał się z wizji jednej osoby w przestrzeń, którą sześć innych osób rzeczywiście mogłoby użytkować.

To było niewygodne odkrycie.

Kiedy uczestnicy wyszli obejrzeć zaplecze, Jan został przy stole. Przesuwał palcem po wydrukowanym harmonogramie, zatrzymując się na kolejnych datach.

— Mogłeś powiedzieć mi wcześniej, że zamierzasz podważyć termin przy wszystkich — odezwałam się.

Podniósł głowę.

— Nie zamierzałem go podważać. Chciałem wiedzieć, na jakiej podstawie został ustalony.

— Doskonale wiesz, jaki był efekt.

— Wiem, że mamy sześć osób, które nie będą teraz podejmowały decyzji na podstawie niedopowiedzeń.

— A ja mam przed sobą tydzień dodatkowej pracy.

Odłożył kartkę.

— Mogę wziąć część tej pracy na siebie.

— Nie o to chodzi.

— To o co?

Odsunęłam krzesło i podeszłam do okna. Za szybą przejechał tramwaj, a mokry asfalt odbijał światła samochodów. Przez moment zastanawiałam się, ile mogę powiedzieć człowiekowi, którego poznałam zaledwie dzień wcześniej.

— Chodzi o to, że ten projekt jest mój — odpowiedziałam w końcu. — Nie w sensie własności budynku. Mój pomysł, moja odpowiedzialność i moja reputacja. Przez kilka miesięcy słyszałam, że to się nie uda, że miejsce jest zbyt trudne, że powinnam zająć się czymś bezpieczniejszym. Teraz, kiedy wreszcie zaczyna nabierać kształtu, nie chcę, żeby ktoś przejął stery.

Jan milczał chwilę.

— Nie chcę przejmować sterów.

— W takim razie czego chcesz?

— Żebyś pozwoliła ludziom powiedzieć, czego potrzebują, zanim obiecasz im gotowe rozwiązanie.

Uderzyła mnie nie tylko treść jego odpowiedzi. Po raz pierwszy zwrócił się do mnie na ty, jakby rozmowa weszła na teren, na którym oficjalne formy przestały mieć sens.

— Łatwo ci to mówić — odparłam. — Ty nie odpowiadasz za całość.

— Ale odpowiadam za swoją część. Jeśli źle zaplanuję warsztat, nie będę mógł wykonać zamówień. Mam klientów, pracowników współpracujących ze mną przy większych realizacjach i zobowiązania, których nie przesunę jednym telefonem.

— Rozumiem.

— Nie jestem pewien.

Spojrzałam na niego ostro.

— Uważaj.

Nie cofnął wzroku.

— Kamila, nie podważam twojej pracy. Właśnie dlatego chcę, żeby ten projekt przetrwał pierwszy trudny tydzień, a nie tylko dobrze wyglądał na otwarciu.

Odpowiedź, którą przygotowałam, nagle wydała mi się dziecinna.

Zamiast ją wypowiedzieć, sięgnęłam po ołówek.

— Jakie proponujesz rozwiązanie?

Jan podszedł do stołu i rozłożył kartkę obok mojego planu. Nie przesunął moich dokumentów bez pytania. Wskazał trzy etapy: przygotowanie przestrzeni, uruchomienie stanowisk i dopiero później otwarcie galerii. Każdy miał otrzymać osobną datę i warunki zakończenia.

— Chcesz przesunąć otwarcie o miesiąc — zauważyłam.

— Chcę uniknąć sytuacji, w której ogłosimy datę, a potem będziemy udawać, że wszystko jest gotowe.

— Mam zobowiązania wobec właściciela.

— Jakie?

Wyjaśniłam warunki umowy. Przez pierwsze trzy miesiące czynsz był obniżony, ale od lutego miał wzrosnąć. Każde opóźnienie oznaczało konieczność pokrycia kosztów bez przychodów z galerii i warsztatów.

Jan nie skomentował od razu. Wziął kalkulator i zaczął zestawiać wydatki.

— Jeśli uruchomimy część stanowisk wcześniej, ludzie będą mogli pracować, nawet jeśli galeria nie będzie jeszcze gotowa — powiedział po kilku minutach.

— A otwarcie?

— Możemy zrobić je w dwóch etapach. Najpierw dla klientów rzemieślników, później publiczne wydarzenie.

Pochyliłam się nad kartką. Pomysł był praktyczny, ale brakowało w nim czegoś, co stanowiło sedno mojego projektu.

— Nie chcę, żeby galeria stała się dodatkiem, na który kiedyś znajdziemy czas.

— To ustalmy termin, którego nie przesuniemy bez wspólnej decyzji.

— I budżet, którego nie wolno przenosić na warsztaty.

Skinął głową.

— Zgoda.

Przez następne pół godziny poprawialiśmy harmonogram. Z każdym kolejnym uzgodnieniem napięcie między nami

zmieniało charakter. Nadal się spieraliśmy, ale przestaliśmy traktować każdą różnicę zdań jak próbę zdobycia przewagi.

Jan okazał się cierpliwy w sprawach technicznych i bezlitosny wobec ogólników. Kiedy powiedziałam, że coś „powinno się udać", pytał, co dokładnie mam na myśli. Kiedy on stwierdził, że „tak będzie bezpieczniej", domagałam się konkretnego uzasadnienia.

W pewnym momencie nasze dłonie spotkały się nad tym samym ołówkiem. Oboje cofnęliśmy je niemal równocześnie.

— Proszę bardzo — powiedział, podsuwając mi ołówek.

— Jakie eleganckie ustępstwo.

— Nie przyzwyczajaj się.

Uśmiechnęłam się, zanim zdążyłam nad tym zapanować.

Kiedy reszta wróciła, przedstawiliśmy wspólną propozycję. Każdy otrzymał zadania i możliwość zgłoszenia poprawek do piątku. Zofia wyraźnie odetchnęła, a Natalia zaproponowała, że zajmie się tymczasowymi zasłonami oddzielającymi stanowiska.

Po spotkaniu zostałam, żeby uporządkować dokumenty. Jan zamknął skrzynkę narzędziową, ale nie wychodził.

— Nadal jesteś na mnie zła? — zapytał.

— Jeszcze rozważam.

— Masz jakiś termin podjęcia decyzji?

— W przeciwieństwie do ciebie nie potrzebuję harmonogramu do wszystkiego.

Oparł się o stół.

— To dobrze. Już zaczynałem się martwić.

Przyjrzałam mu się uważniej. Miał trzydzieści dziewięć lat, jak wynikało z dokumentacji uczestników projektu, a w jego

twarzy było coś, czego nie potrafiłam jednoznacznie nazwać. Nie wyglądał na człowieka, któremu życie oszczędziło rozczarowań. Mimo to jego uśmiech nie był cyniczny.

— Dlaczego właściwie zdecydowałeś się na tę pracownię? — zapytałam.

— Bo chcę mieć miejsce, którego nie będę musiał opuszczać co dwa lata.

— Przeprowadzałeś warsztat?

— Trzy razy w ciągu siedmiu lat. Rosnące czynsze, zmieniający się właściciele, sprzedaż budynku. Za każdym razem trzeba było rozbierać wszystko, co zbudowałem.

Zerknął na belkę pod oknem.

— Chciałbym wreszcie zrobić coś z myślą o dłużej niż jednym sezonie.

Jego odpowiedź była spokojna, lecz nie zabrzmiała jak nieważna informacja.

— A ja chciałabym zbudować miejsce, które nie zamknie mnie w jednym sposobie życia — powiedziałam.

Spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

— To chyba będzie najtrudniejsza część naszego projektu.

— Dlaczego?

— Bo ja zawsze zaczynam od fundamentów, a ty od otwartych drzwi.

Roześmiałam się cicho.

— Może jedno nie wyklucza drugiego.

— Może.

Przez chwilę staliśmy naprzeciw siebie, po dwóch stronach stołu pełnego skreśleń. Nie było już niczego pilnego do ustalenia, a jednak żadne z nas nie sięgało po kurtkę.

— Kamila?

— Tak?

— Następnym razem powiem ci wcześniej, jeśli będę chciał zmienić przebieg spotkania.

Przyjęłam tę obietnicę skinieniem głowy.

— A ja spróbuję nie traktować każdej twojej uwagi jak zamachu na moje kompetencje.

— Ambitny plan.

— Nie psuj chwili.

Uśmiechnął się, lecz tym razem nie odpowiedział żartem. Spojrzał na mnie tak uważnie, że musiałam opuścić wzrok na plany.

Kiedy wreszcie wyszedł, zobaczyłam, że na odwrocie jednego z wydruków zostawił numer telefonu i krótką wiadomość.

Jeśli zmienisz coś w harmonogramie, zadzwoń. Jeśli będziesz chciała się pokłócić, też możesz.

Przeczytałam ją dwukrotnie.

Potem zapisałam jego numer, choć znałam już służbowy kontakt z dokumentacji projektu.

Tym razem chciałam mieć powód, żeby zadzwonić z własnej woli.

Rozdział 2 - Odległość między dwoma krzesłami

W piątek o siódmej wieczorem Jan przysłał mi zdjęcie drewnianego stołu.

Nie był szczególnie efektowny. Miał prostokątny blat z jasnego jesionu, cztery masywne nogi i niewielkie przebarwienie przy jednej krawędzi. Na fotografii stał w niemal pustym pomieszczeniu, obok którego widać było jedynie okno i kawałek ciemnej podłogi.

Pod zdjęciem znajdowała się wiadomość.

Znalazłem rozwiązanie dla wspólnej części pracowni. Stół jest do obejrzenia, nie do kupienia w ciemno. Jutro mogę pokazać ci konstrukcję.

Odpisałam, że jeśli zamierza przekonać mnie do kolejnego ciężkiego mebla, powinien przygotować bardzo dobre argumenty.

Przygotuję kawę. Argumenty już mam.

Uśmiechnęłam się do telefonu, a potem odłożyłam go na biurko i wróciłam do poprawiania kosztorysu. Przez trzy dni pracowaliśmy osobno nad ustaleniami ze spotkania. Jan przesłał listę wymagań technicznych, ja przygotowałam nowy układ stanowisk i wariant etapowego otwarcia. Nie rozmawialiśmy o niczym prywatnym, choć kilka razy łapałam się na tym, że szukam jego nazwiska wśród powiadomień.

Następnego ranka pojechałam pod wskazany adres na Starym Polesiu. Warsztat mieścił się w podwórzu kamienicy, za ciężką bramą prowadzącą do długiego przejazdu. Na ścianie wisiała niewielka tabliczka z nazwiskiem Jana i godzinami otwarcia.

Drzwi były uchylone.

W środku pachniało drewnem, olejem i świeżo zmieloną kawą. Po lewej stronie stały maszyny, których nazw nie znałam, po prawej rzędy starannie ułożonych desek. Przy tylnej ścianie znajdował się niewielki stół, a na nim dwa ceramiczne kubki.

Jan pracował przy imadle. Kiedy mnie zobaczył, odłożył narzędzie i zdjął okulary ochronne.

— Punktualnie — zauważył.

— Zaskoczony?

— Raczej zadowolony.

Miał na sobie szarą koszulkę i ciemne spodnie robocze. Bez kurtki wyglądał inaczej, bardziej swobodnie. Zauważyłam drobną bliznę na przedramieniu i sposób, w jaki odruchowo poprawiał rękaw, zanim podał mi kubek.

— Bez cukru — powiedział. — Jeśli źle zgadłem, jest na półce.

— Dobrze zgadłeś.

— Pierwszy sukces dnia.

Kawa była mocna i gorąca. Obejrzałam warsztat, próbując nie okazywać zbyt wyraźnego zainteresowania jego właścicielem. Właściwie wszystko mówiło coś o Janie. Narzędzia miały swoje miejsca, ale na stole leżały rozpoczęte projekty. W jednej szufladzie zobaczyłam szkice mebli, w drugiej próbki różnych gatunków drewna.

Nie był człowiekiem, który żył wyłącznie według jednego schematu. Potrafił utrzymywać porządek bez pozbawiania przestrzeni życia.

— To twój obecny warsztat? — zapytałam.

— Od trzech lat. Umowa kończy się w marcu.

— Dlatego tak zależy ci na terminach.

— Między innymi.

Podeszliśmy do stołu ze zdjęcia. Jan przesunął po blacie dłonią, pokazując niewielkie nierówności i naturalne przebarwienia.

— Zrobiłem go kilka lat temu dla restauracji — wyjaśnił. — Zamówienie zostało anulowane, zanim zdążyłem go dostarczyć. Od tamtej pory stoi tutaj.

— Dlaczego go nie sprzedałeś?

— Nie znalazł się nikt, kto chciałby go dokładnie w tej postaci.

— Mogłeś przerobić.

— Mogłem. Ale czasem warto poczekać, aż przedmiot trafi we właściwe miejsce.

Spojrzałam na niego znad kubka.

— Brzmi podejrzanie sentymentalnie jak na człowieka, który wymaga harmonogramu do każdej decyzji.

— Nie każdej.

— Podaj przykład.

Przez chwilę przyglądał mi się z rozbawieniem.

— Zaprosiłem cię tutaj, chociaż nie miałem pojęcia, czy przyjdziesz.

Nie spodziewałam się tak bezpośredniej odpowiedzi.

— To miało być spotkanie zawodowe.

— Jest zawodowe.

— A kawa?

— Wciąż zawodowa, jeśli tak wolisz.